

Wizyty państwowe

22 czerwca 2019

W czasie trzynastu lat pracy wielokrotnie wyjeżdżałem z oficjalnymi delegacjami państwowymi za granicę. Nie zamierzam opisywać wszystkich, bo miały one mniej więcej jednakowy przebieg. Wspomnę o kilku, moim zdaniem ciekawszych. Najczęściej wyjeżdżałem z Edwardem Gierkiem.

W 1977 roku obsługiwałem wizytę I Sekretarza Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej we Włoszech i w Watykanie. Odwiedził on wtedy, jako pierwszy przywódca Polski Ludowej, cmentarz na Monte Casino, gdzie złożył wieniec i oddał hołd poległym tu polskim żołnierzom.

W Watykanie, na dziedzińcu San Damaso, gdzie odbywało się oficjalne powitanie, na gościa z Polski oczekiwała gwardia papieska, zwana także szwajcarską i najmniejszą armią świata, w barwnych strojach z halabardami, dostojnicy kurii rzymskiej i oczywiście obsługa prasowa. Watykańscy specjaliści od protokołu dyplomatycznego ustawili nas w określonym miejscu i stanowczo nakazali, by zachowywać się odpowiednio do miejsca, w którym się znajdujemy. Znaczyło to ni mniej ni więcej tyle, że nikt nie powinien ruszyć się z przydzielonego mu miejsca. Golcowi, operatorowi PKF, przypadło miejsce, z którego nie był zadowolony. Bardzo ubolewał, że nie może stanąć metr czy dwa dalej, aby zrobić najlepsze ujęcie. Wpadł jednak na pomysł, że można o pół metra przesunąć w prawo gwardzistę z halabardą, a on zrobi wtedy najlepsze ujęcie w swoim życiu. Zaczął mocno na mnie nalegać, bym zajął się rozwiązaniem tej kwestii. Zwróciłem się z tym problemem do przedstawiciela naszego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, prosząc o pomoc. Dyplomata Kronice gotów był nieba przychylić, a zwłaszcza Ryśkowi, którego wszyscy lubili i cenili.

Udaliśmy się do jakiegoś monsignore z watykańskiego protokołu, którego nasz dyplomata poprosił o przesunięcie człowieka z

halabardą o pół metra w prawo. Ten spojrział na nas z wyrozumiałą dezaprobatą i spokojnie odpowiedział: „Nie mogę tego uczynić szanowny kolego, przecież gwardzista stoi w tym miejscu od ponad czterystu lat...” Przyjęliśmy werdykt z właściwą pokorą.

Między Polską Kroniką Filmową a telewizją istniała ciągła rywalizacja, przeradzająca się często w jawną niechęć. Wspominam tu o tym nie bez kozery. W Rzymie ekipa PKF składała się tylko z dwóch osób, natomiast ekipa telewizji liczyła trzech operatorów. Nie pamiętam już dokładnie, ilu redaktorów, dźwiękowców i specjalistów z innych dziedzin towarzyszyło prezesowi, Maciejowi Szczepańskiemu. Złośliwi komentowali, że jest to odrębna delegacja wizytująca Italię.

Po oficjalnej wizycie w Watykanie, późnym popołudniem, w dniu odlotu Edward Gierek wydał koktajl, w którym uczestniczyli kardynał Agostino Casaroli, twórca nowej polityki Watykanu wobec krajów Europy Wschodniej, i kardynał Stefan Wyszyński, liczni biskupi, a także szefowie włoskich partii politycznych, wśród nich Enrico Berlinguer, sekretarz generalny Włoskiej Partii Komunistycznej, jeden z twórców eurokomunizmu, nurtu polityczno-ideowego nieuznającego dyktatury, a co zatem idzie – leninizmu. Już samo zestawienie nazwisk świadczyło, że nie było to spotkanie banalne.

Stałem w pobliżu, gdy Edward Gierek podszedł do Stefana Wyszyńskiego. „Słyszałem – powiedział do kardynała – że pan chorował”. „To prawda, panie pierwszy sekretarzu – odpowiedział kardynał – ale dzięki Bogu, już się czuję dobrze”. Kardynał o coś poprosił pierwszego sekretarza. Ten odpowiedział, że nie może spełnić jego prośby. „Nic nie szkodzi – pocieszył kardynał pierwszego sekretarza – załatwię to z pana małżonką”. Oddaliłem się w tym momencie od rozmawiających, nie wypadało przysłuchiwać się prywatnej rozmowie.

Operatorzy filmowi i telewizyjni na tego rodzaju spotkania

wpuszczani są tylko na chwilę. Dostaliśmy znak, że możemy filmować. Ryszard Gołc wykorzystał dany nam czas, co do sekundy. Polska Kronika Filmowa, była jedyną ekipą filmującą opisane spotkanie. Zdziwiła mnie nieobecność wyjątkowo licznej ekipy telewizji. W koktajlu nie uczestniczył także Maciej Szczepański. Później okazało się, że cała ekipa Telewizji Polskiej wyruszyła w tym czasie na zakupy!

W samolocie otrzymałem polecenie: po wywołaniu taśmy, udostępnić natychmiast materiał telewizji. Zsiniałem ze złości! To przecież nie było w porządku. Musiałem ustąpić przed potęgą Macieja Szczepańskiego. Przeżywałem jednak w duszy cichą satysfakcję, że Polska Kronika Filmowa okazała się lepsza i solidniejsza. Nie pierwszy i nie ostatni raz!

Wizyta w Szwecji też była pełna niespodzianek. Rząd szwedzki nie ma specjalnej kolumny samochodowej, wynajmuje eleganckie limuzyny w firmie prywatnej. Samochodów nie prowadzą oficerowie z biura ochrony rządu, bo taka jednostka nie istnieje. Nic więc dziwnego, że w czasie wizyty kawalkada samochodów wioząca polską delegację, wracającą do rezydencji w Sztokholmie, pomyliła drogę i musiała się zatrzymać, aby zapytać, jak dojechać do Pałacu Haga. Na szczęście, przez ryneček przechodziła pani niosąca w koszu bieliznę do pralni. Wskazała drogę, a na pożegnanie zapytała, czy to polska delegacja? A kiedy usłyszała potwierdzenie, rzekła: – Bardzo mi miło, dziś wieczorem spotkamy się na kolacji. Panią okazała się żona premiera Szwecji, Lisabet Palme. No cóż, co kraj to obyczaj!

4 czerwca 1975 roku Edward Gierek odleciał helikopterem do Harpsund, letniej rezydencji premiera Palme, położonej nad jeziorem w malowniczej okolicy. W przerwie między rozmowami obaj panowie wyszli na spacer, podeszli do dziennikarzy, przywitali się z nami i po krótkiej rozmowie udali się w stronę jeziora, oddalonego od rezydencji około sto metrów. Olof Palme zaproponował gościowi przejażdżkę po jeziorze. Wsiedli do łódki, premier Szwecji przy wiosłach, pierwszy

sekretarz jako pasażer. Łódka wolno zaczęła oddalać się od brzegu. Wtedy zauważyliśmy, że adiutant Edwarda Gierka, płk. Zdzisław Chełmiński, zaczyna nerwowo biegać w tę i z powrotem przy brzegu jeziora. Tymczasem łódź z premierem i pierwszym sekretarzem oddalała się coraz dalej od brzegu. Płk. Chełmiński nerwowo próbował odzepić z uwięzi jakąś łódkę, a gdy mu się to udało, wskoczył do niej i z determinacją zaczął z całych sił wiosłować, by doścignąć łódkę obu panów. Zbliżył się do niej na odległość dziesięciu-piętnastu metrów i już nie odstąpił. Dziennikarze szwedzcy patrzyli na wyczyny pułkownika ze zdumieniem i chyba podziwem, bo po powrocie na brzeg zasypali dzielnego adiutanta pytaniami. Następnego dnia poświęcono temu zdarzeniu sporo miejsca na czołówkach gazet. Pułkownik miał swoje pięć minut.

W programie wizyty przewidziano pobyt w Göteborgu, a w nim zwiedzanie zakładów Volvo, wizytę w ratuszu i śniadanie w salonach recepcyjnych. Z ratusza delegacja przeszła pieszo, około 500 metrów, do przystani, skąd statkiem ratownictwa morskiego popłynęliśmy do stoczni Götaverken. Statki budowano tu w wielkich halach, co chroniło stoczniovców przed deszczem i chłodem w jesienne i zimowe miesiące, bo hale były ogrzewane. W zakładach Volvo wielkie wrażenie wywarł na zwiedzających pokaz bezpieczeństwa samochodu. Demonstracja polegała na tym, że samochód umieszczony na szynach z dwoma manekinami, przypiętymi pasami, nabiera szybkości i uderza w betonową zaporę. Przód pojazdu ulega zniszczeniu, ale nie w takim stopniu, by zagrozić życiu pasażerów, ponieważ samochody produkowane przez zakłady Volvo mają zainstalowane specjalne amortyzatory, które zmniejszają siłę uderzenia. Rysiek Gołc jeszcze w samolocie nie ochłonał z wrażenia. „Zniszczyć taki doskonały samochód” – powtarzał.

W ostatnim dniu wizyty Rada Szwedzkich Eksporterów podejmowała Edwarda Gierka śniadaniem w restauracji Stallmästagen. U wejścia do lokalu powitał polskiego gościa prezydent koncernu Alfa Laval, Hans Stahle.

W zakładach Alfa Laval robiliśmy z Januszem Kuźniarskim reportaż, bo są one znane nad Wisłą jeszcze sprzed wojny. Naszą uwagę zwróciła w fabryce nie tyle nowoczesna produkcja, co stołówka pracownicza. Wystrój tej stołówki nie ustępował renomowanej restauracji, w czasie obiadu występowały znane zespoły rozrywkowe – wokalne i orkiestrowe. Poinformowano nas w czasie obiadu, że personel kierowniczy jada posiłki w odrębnej stołówce. W naszej wyobraźni natychmiast zrodziło się pytanie: skoro stołówka robotnicza jest na tak wysokim poziomie, to jak wygląda ta dla dyrekcji? Przekonaliśmy się, o tym następnego dnia. Dania w karcie te same, co w stołówce pracowniczej. Różnica polegała tylko na tym, że wystrój sali dla personelu kierowniczego był bardzo skromny, nie przygrywała orkiestra i posiłku nie umilały występy piosenkarek. To, po co ta odrębność? Ano po to, by nie tracić cennego czasu. W czasie obiadu można przecież rozmawiać o sprawach zakładu czy wymieniać poglądy na tematy zawodowe! Nie mieliśmy więcej pytań.

Imponujący przebieg miała wizyta Edwarda Gierka we Francji. Gazety na pierwszych stronach przypomniały, że Paryż wita po królewsku człowieka, którego w przeszłości wydano z Francji. Ceremonia powitania z salwą armatnią odbyła się nie na lotnisku, a na Placu Inwalidów. Edward Gierek leciał helikopterem, a my, dziennikarze, jechaliśmy samochodem. Musieliśmy dotrzeć na miejsce przed Edwardem Gierkiem. Nigdy nie zapomnę tej jazdy. Naszego citroena eskortowali policjanci na motocyklach. Samochód cały czas pędził z włączoną syreną. To wprost niewiarygodne, na zakrętach pisk opon zagłuszał syrenę, pędziliśmy z zawrotną szybkością. Policjanci w okutych blachą butach torowali nam przejazd. Na karoseriach aut, które ociągały się ze zjechaniem na bok pozostawały ślady tych butów. To niesamowite, pewne odcinki ulic pokonywaliśmy pod prąd. Gdy minął pierwszy szok zacząłem obserwować kierowcę, który mógł pochodzić z Malezji bądź z Indonezji, siedziałem obok niego na przednim fotelu. Nie dostrzegłem na jego twarzy żadnego napięcia

Najbardziej lubiłem podróże z profesorem, Henrykiem Jabłońskim, przewodniczącym Rady Państwa. Choć obowiązywał ten sam protokół dyplomatyczny, nie wyczuwało się żadnej oficjalnej sztywności, Henryk Jabłoński był po prostu sobą – bardziej profesorem niż dostojnikiem.

Z pierwszego wyjazdu do Iraku zapadł mi w pamięci pobyt w Mosulu i w owianej sławą starożytną Niniwie, położonej na lewym brzegu Tygrysu. Badacze historii odnotowują początki osadnictwa już w VI wieku p.n.e. Trzy wieki później władca, Sanherib, ustanowił Niniwę stolicą Asyrii. Za panowania Sanheriba i Aszurbanipala wybudowano tu imponujące pałace. Miasto, do którego prowadziło piętnaście bram, osiągnęło największy rozkwit w jego historii. Zniszczone przez Babilończyków, Medów i Persów w 612 roku p.n.e., już nigdy nie podźwignęło się z upadku. Mury obronne Niniwy i wykopaliska do dziś poruszają wyobraźnię współczesnych. W naszej świadomości Niniwa istnieje dzięki przekazom biblijnym.

W październiku 1975 roku prezydentem Iraku był Al-Bakr, ale już wtedy mówiło się nad Tygrysem o trzydziestoosmioletnim zastępcy przewodniczącego Rady Dowództwa Rewolucji, Saddampie Husajnie, jako o człowieku, którego czas szybko nadejdzie. Przyjął go na audiencji, po rozmowie w cztery oczy z prezydentem Al-Bakrem, przewodniczący Rady Państwa. Na taśmie utrwalił wizytę operator kroniki, Karol Szczeciński.

Cztery urocze dni spędziliśmy z Januszem Kreczmańskim obsługując oficjalną wizytę prof. Henryka Jabłońskiego w Austrii. Do dziś pamiętam pobyt w Operze Wiedeńskiej. Dawano „Eugeniusza Oniegina” Czajkowskiego, z udziałem Teresy Żylis-Gary w roli Tatiany.

Po raz trzeci miałem szczęście uczestniczyć w ekipie dziennikarskiej obsługującej oficjalną wizytę przewodniczącego Rady Państwa, prof. Henryka Jabłońskiego, w Meksyku i w Kostaryce. Była to podróż niesłychanie długa. Trzydzieści siedem i pół godziny przebywaliśmy w powietrzu, z międzylądowaniami w Santa Maria na Azorach i w Nassau na

Bahamach, a w drodze powrotnej w Hawanie. Samolotem Ił-62M pokonaliśmy – bagatela – dwadzieścia sześć tysięcy sześćset dwadzieścia pięć kilometrów.

Wylądowaliśmy w Meridzie, stolicy stanu Jukatan, gdzie delegację polską powitali przedstawiciel prezydenta Meksyku i władze lokalne. Późnym popołudniem zwiedziliśmy Uxmal, dawne miasto-państwo Majów, które istniało „zaledwie” 450 lat (987-1441). Wielkie wrażenie wywarły na zwiedzających zabytki architektoniczne w Uxmal: Pałac Gubernatora, Dom Mniszek, Świątynia Czarownika, Wielka Piramida i Dom Żółwia oraz liczne płaskorzeźby i mozaiki zdobiące fasady zachowanych budynków. Wieczorem za sprawą światła i dźwięku przenieśliśmy się wśród tych ruin i ocalałych zabytków w świat duchów, dawnych mieszkańców miasta Majów, oglądając widowisko przygotowane dla turystów. Najmniej zadowolony był Sławek Sławkowski, operator kroniki – ciemności panujące w czasie spektaklu ograniczyły mu możliwości filmowania.

W stolicy – Ciudad de Mexico – profesora Jabłońskiego i jego małżonkę, powitał prezydent Meksyku, José López Portillo z małżonką. Od pierwszego dnia wizyty prof. Henryk Jabłoński zwrócił na siebie uwagę prasy meksykańskiej znajomością historii Meksyku. Andrzej Świecki z „Życia Warszawy”, który doskonale znał profesora, uchylił mi rąbka tajemnicy. Otóż, już rok przed wizytą, przewodniczący Rady Państwa sprowadził książki o Meksyku z biblioteki uniwersytetu w Oxfordzie i intensywnie je studiował. W Meksykańskiej Akademii Historii profesor Henryk Jabłoński wygłosił wykład (tekst, przetłumaczony na język hiszpański, rozdano przed pojawieniem się autora na mównicy) na temat „Tradycje i współczesność”. Został on bardzo dobrze przyjęty przez słuchaczy i był obszernie komentowany w prasie.

Teotihuacan ma wiele znaczeń: nazywane jest miastem bogów, miejscem, w którym ludzie poznali drogę bogów, miejscem, gdzie ludzie stają się bogami, miejscem, gdzie narodzili się bogowie. Jest z pewnością zabytkiem tajemniczym i magicznym.

Początki miasta sięgają II wieku p.n.e. Teotihuacan z wieku na wiek stawało się centrum religijnym i administracyjnym ówczesnych ludów. Swoje ślady pozostawili tu Toltekowie i Aztekowie. Rozkwit Teotihuacan nastąpił w IV-VII wieku. Widok, jaki jawi się naszym oczom, gdy patrzymy na centralną arterię miasta, jest świadectwem wielkiej wyobraźni budowniczych, racjonalności i precyzji. Zbudowali oni Teotihuacan na planie prostokątnie przecinających się ulic, pomyśleli o zbiornikach wody deszczowej, tak cennej w tym klimacie, o targowiskach, teatrach, świątyniach. Imponują swoimi rozmiarami Piramidy Słońca i Księżyca. Aleja Umarłych prowadzi do placu piętnastu świątyń. Zadziwia świątynia Quetzalcoatl – Pierzastego Węża. Współcześni muszą zadać sobie pytanie, jakie siły sprawiły, że to potężne i piękne miasto upadło i zostało zapomniane. Czyżby opuścił mieszkańców Tlaloca – bóg deszczów? A może Tlatocatecutli, który trwał siedem razy po pięćdziesiąt dwa lata, bóg piekieł, wyludnił miasto i skazał je na zapomnienie? Na wiele pytań uczeni nie znajdują jeszcze odpowiedzi. Ważne, że Teotihuacan skłania do zadawania pytań i refleksji nad przemijaniem i dolą człowieczą.

Niezapomnianą atrakcją dla uczestników polskiej delegacji pozostanie zwiedzanie rozległej strefy archeologicznej w Teotihuacan.

Z Meksyku polecieliśmy do Kostaryki. Kostarykę odkrył w 1502 roku Krzysztof Kolumb podczas czwartej i ostatniej wyprawy. Sądził, że odkrył legendarną krainę złota, więc nazwał ją „bogatym wybrzeżem” – Costa Rica. Wylądowaliśmy w stolicy kraju, San José. Miasto, położone na wysokości 1272 m. nad poziomem morza, liczy około 400.000 mieszkańców i jest największym w Kostaryce.

Delegacja przeprowadziła oficjalne rozmowy. Podpisano umowę o współpracy kulturalnej i naukowej. Koncert muzyki chopinowskiej, podobnie jak w Meksyku, dał Piotr Paleczny. Delegacja polska zwiedziła plantację kawy.

1 listopada odlecieliśmy do Hawany, gdzie powitał przewodniczącego Rady Państwa Henryka Jabłońskiego prezydent Kuby, Fidel Castro. Profesor wręczył Comandante ptasie mleczko, sądząc, że Fidelowi Castro tylko tego brakuje. A ja, z Romkiem Dobrzyńskim, dziennikarzem z TVP, wypiliśmy koktajl „Cuba Libre”, żałując, że wizyta w Hawanie trwała zbyt krótko. Odlecieliśmy, po ośmiu dniach tułaczki, do ojczyzny.

Autorstwo: Mirosław Chrzanowski

Źródła: Trybuna.info, PeKaEfczyk.com